



Corpus Nobile

I

– A Roszawski na to: więc francuską modą waść to kuriozum nosisz?
A ja myślałem, że to na znak tego, że waści macierz pies w gębę chędożył!

Salą wstrząsnął wybuch gromkiego śmiechu. Ubrudzone jadłem sumiaste wąsy zebranych trzęsły się na spoconych twarzach. Z otwartych

ust wypadały okruchy i kawałki mięsa. Choć jeszcze przed chwilą wydawało się to nie możliwe, panujący w izbie rejwach przybrał na sile. Gruby szlachcic, który skończył opowiadać swoją historię, chwycił ze stołu baranie udo. Wgryzając w nie zęby usiłował dodać coś jeszcze do opowieści. Jego słowa ginęły w potoku mlasków i chrząknięć.

Tylko jeden z biesiadników nie zwracał uwagi na to, co działo się w tej części sali.

Jakub Wroński, wspierając łokcie na blacie stołu, pocierał swoje łzawiące oko. Jego głowa kiwała się miarowo jak kawałek drewna puszczony na wodę. Gdy oderwał dłonie od twarzy zobaczył, że znów przyniesiono nowe dania.

Stół był ich pełen. Rozgrzebywane rękami mieszały się ze sobą tworząc fantazyjne konstelacje. Patrząc na nie, Jakub nie mógł poznać, co już było na stole, a co właśnie zostało podane. Wśród sztuk pieczonego mięsa walały się kiszki i pęta kielbasy. Gotowana kapusta kleiła się do butli i pucharów. Rozlane zupy spływały ospałymi strużkami na podłogę.

Wroński błędząc dookoła mętным wzrokiem usiłował przypomnieć sobie gdzie właściwie się znajduje. Nikłe światło w izbie sprawiało, że kontury pomieszczenia rozpływały się. Nie mogąc ich dostrzec miał wrażenie, że stół, przy którym siedzi zawieszony jest w bezkresnej pustce. Nie wiedział jak się tu znalazł, ani jak długo tutaj przebywa. Nieprzemijające uczucie głodu paliło mu trzewia, mącąc myśli i przytępiając zmysły.

Twarze zebranych, ukryte pod zasłoną cieni, wydawały mu się znajome. Przyglądając się im starał przypomnieć sobie jakieś nazwiska. Jednak im dłużej się w kogoś wpatrywał, tym bardziej jego wizerunek rozpływał się a jego miano, przed chwilą już prawie znajome, ginęło w kotłowninie myśli, których nie potrafił uporządkować.

Kiedy wciąż usiłował dopasować nazwiska do otaczających go oblicz, otrzeźwił go dźwięk jego własnego.

– Rotmistrzu Wroński! Czemu waść taki zasępiony? – Jakub zobaczył grubego szlachcica, przechylającego się w jego stronę. Był to ten sam, który opowiadał historię o staroście Roszawskim. Wroński rozpoznał w nim porucznika swojej dawnej chorągwi.

– Jedz! To uczta specjalnie dla ciebie! – Porucznik oderwał kolejny kawał mięsa od trzymanej w ręce kości. Wkładając go sobie do ust, mówił dalej: – Szczęśliwy dzień nastał dla naszej kompani elearskiej! Jest z nami nasz rotmistrz, jest z nami nasz świątobliwy kapelan, imię Wojciech Dębołęcki, a i sam pułkownik Lisowski wraz z resztą chorągwi już wkrótce do nas zawita!

Ogarnięta euforią szlachta poczęła palić z bandoletów. Nie próbując jej uspokoić, gruby szlachcic przekrzykiwał hałas:

– Szczęśliwy to czas, powiadam! Nasze chorągwie znów zjednoczą się pod wodzą Lisowskiego! A z błogosławieństwem naszego kapelana nie straszne nam klątwy i złożeczenia, jakie spadły na nasze głowy za to tylko, że wiernie Rzeczypospolitej chcieliśmy służyć!

Szlachta na powrót wzniosła wiwat.

Jakub zauważył, że przemawiający porucznik wpatruje się prosto w niego. Na jego nalanej twarzy dostrzegł wyraz wyrzutu.

Mierząc Wrońskiego wzrokiem gruby szlachcic przez chwilę stał w milczeniu, po czym zniżył głos i zwrócił się bezpośrednio do Jakuba:

– Mości Wroński, długo musieliśmy na waści czekać. Wzbraniał się nasz rotmistrz, żeby z chorągwią swoją się w końcu połączyć. A przecież było wiadome, że przed własnym przeznaczeniem nikt nie ucieknie.

– Daj już pokój, poruczniku Iwicki. Nie turbuj naszego gościa, bo jeszcze gotów nas opuścić. – Głos franciszkanina był ciepły, ale zdecydowany i mocny. Jakub nie wiedział skąd ksiądz się tu zjawiał. Był pewien, że nie widział go wcześniej. Na słowa kapelana twarz Iwickiego ponownie nabrała radośniejszego wyrazu.

– Masz rację, ojcie Dębołęcki – powiedział. – Ale nie miejcie mi tego za złe. To z radości i troski te słowa, nie z wyrzutów. Teraz niech ojciec głos zabierze. Czekamy na błogosławieństwo.

Ksiądz uniósł ręce. Jakubowi zdało się, że całe pomieszczenie jaśniej. Przed jego oczami zaczęły kołować obrazy i Wroński ze zdumieniem spostrzegł, że znajdują się w kościele. Przez grube witraże sączyło się ciężkie, czerwone światło zachodzącego słońca.

– Corpus Christi! – Głos Dębołęckiego, niesiony echem, odbijał się od murów. Przechodząc przez wszystkie nawy wracał i świdrował uszy Wrońskiego, jakby rozchodził się tuż pod powalą jego czaszki. Nagły zawrót głowy niemal zrzucił go z krzesła. Jakub musiał chwycić się blatu. Jego lewe oko znów zaczęło łzawić. Kiedy spojrzał przed siebie, zdało mu się, że jest jednym z bohaterów fresku sławnego Leonarda, który oglądał lata temu podczas pielgrzymki do Rzymu. W miejscu Jezusa siedział kapelan. Rozkładając dłonie w geście błogosławieństwa mówił coś szeptem. Siedzący po jego obu stronach szlachcice szarpali rękami leżące na stole mięso i pchali je sobie do ust. Wroński z przerażeniem stwierdził, że to, co jedzą było nagim ciałem Jezusa. Targany odruchem obrzydzenia cofnął się, spadając z siedzenia.

Leżąc na podłodze dostrzegł nad sobą uśmiechniętą twarz Iwickiego.

– Cóż to, Jakubie? Za dużo okowity się przez gardło przelało? – spytał drwiąco porucznik. – Nie zmiarkował waść, ile się w czubie zmieści?

Jakub spróbował wstać. Kiedy gruby szlachcic pochylił się nad nim, poczuł jego oddech, woniący wilgotną mogiłą.

– A nasza okowita mocna – mówił dalej porucznik. – Wie waść dlaczego? – Bijący od Iwickiego chłód kojarzył się Wrońskiemu z otwartym grobem. Pochylając się jeszcze bardziej, gruby szlachcic wyszeptał tuż przy jego uchu: – Bo na ludzkich kościach pędzona.

Wroński wyrwał się spod niego i stając na nogi dobył broni.

– A cóż to, panie bracie? Na własnych żołnierzy waść broń wyciąga? – spytał Iwicki ze zdziwieniem przechylając głowę.

– Nie jesteście już moimi żołnierzami i nie mi służycie! – wykrzyczał Wroński kierując ostrze w jego stronę.

– Więc komu?

– Bóg was przeklął i diabłuście wasze szable oddali!

– Więc taki waść sąd masz o tych, którzy oddali za ciebie życie? Którzy pod rozkazami twojemi swą duszę na zatracenie powiedli? – Iwicki zaczął powoli iść w jego kierunku. – A co z tobą rotmistrzu? Czy i ciebie Bóg nie przeklął? Czy ty też nie czujesz tego głodu? Jesteś jednym z nas!

Jakub zaatakował. Wymierzone w lic przeciwnika uderzenie minęło cel o szerokość dłoni. Porucznik uchylił się i ustawił do cięcia. Jednak zanim zdążył wymierzyć, Jakub bił błyskawicznie z nadgarstka. Świszt jego husarskiej szabli zagłuszył szcęk żelaza. Iwicki zbił uderzenie ruchem tak szybkim, że Wrońskiemu wydawało się, że ktoś trzeci włączył się do pojedynku.

Impet ciosu był mocny. Pod jego naporem rotmistrz musiał wycofać się w stronę stołu. Następując na przewrócone krzesło, stracił na moment równowagę. Ta chwila wystarczyła, by porucznik pchnął go przewracając na blat. Zanim Jakub zdążył się podnieść, Iwicki przycisnął go ciężarem swojego ciała.

– Myślisz, że jesteś od nas lepszy? – wycharczał tuż nad jego głową. Z jego ust sączyła się stróżka zatechłej śliny, ściekając Wrońskiemu na szyję. – Dlaczego wypierasz się tego, kim jesteś? Dlaczego nie chcesz z nami zostać?

– Nie jestem jednym z was! – Jakub spróbował się wyrwać, ale Iwicki był silniejszy.

– Nie jesteś, waść? – Porucznik przybrał wyraz teatralnego zdziwienia. – Ale byłeś! Byłeś, kiedy prowadziłeś nas na potępienie. Byłeś, kiedy szliśmy dobywać Moskwy, gotowi oddać życie i tracąc własne dusze!

Jakub spojrzał na twarze siedzących przy stole szlachciców. Dostrzegł teraz wrzody pokrywające ich bladą skórę. Nie przestając jeść wpatrywali się w niego zeszkłonymi oczami. Spomiędzy ich sinych warg spływały stróżki krwi.

– To przez ciebie staliśmy się tym, kim jesteśmy – krzyknął Iwicki. – To ty nas powiodłeś na Kreml! Pamiętasz Kreml, rotmistrzu? Pamiętasz to miejsce, gdzie ojciec zjadał syna, syn ojca, a za dwie myszy można było kupić ludzką głowę, by z niej polewki zgotować? Mówisz, że nie jesteś jednym z nas. Zapomniałeś już, waść, jak z głodu razem ze mną żeś kremłowskie groby kopał, by żreć martwych moskwicinów? Jak rozporządzałeś ciałami poległych i straconych mówiąc, który z nas zeżreć może nogę, który rękę, a który wycinki z piersi? – Iwicki chwycił ze stołu kawałek mięsa. – Mówisz, że jesteśmy przeklęci. Jesteśmy! Ale z twojej winy

i ty jesteś przeklęty razem z nami! – Przykładając mięso do ust Wrońskiego krzyczał: – Jedz! Jesteś jednym z nas! Nie uda ci się uciec przed klątwą!

Wroński opierając się o blat pchnął nogami Iwickiego. Gdy tamten usiłował odzyskać równowagę, wyprowadził cięcie szerokim wymachem. Jednak jego cios nie doszedł celu. Jakub poczuł przeszywający ból z głębi trzewi. Upuszczając szablę padł na podłogę.

Palące fale, jakie rozchodziły się w jego wnętrzu, sprawiały, że nie mógł się poruszyć. Miał uczucie, jakby ktoś rozrywał go od środka. Łzy sączące się z jego lewego oka ograniczały mu pole widzenia. Usłyszał nad sobą śmiech porucznika.

Iwicki stał kilka kroków od niego, wpatrując się w jego brzuch. Gdy Wroński przeniósł wzrok w to miejsce, z przerażeniem dostrzegł dwie dłonie usiłujące przebić się przez materiał żupana. Po chwili pomiędzy nimi pojawił się kontur twarzy.

– Mości Wroński! – Głos był stłumiony i pełen młaśnieć. Dobiegał spod materiału. – Mości Wroński, jakim prawem mnie zjadłeś?! – Spomiędzy rozerwanej szaty wychyliła się pokryta żołądkową treścią głowa. Mrugając posklejanymi powiekami zwróciła się w stronę Jakuba. – Przecież nie byłem z twojej chorągwi! – Jeszcze nim głowa skończyła mówić z jej ust wychyliła się ręka. Grzebiąc przez chwilę w oczodole odsłoniła parę zsiniałych warg.

– Nie masz racji, ojcze! – rozległy się słowa z oczodołu. – Słusznie cie rotmistrz Wroński dla siebie i swojej chorągwi pozyskał, boś wpierw zjadł mnie, a ja jego żołnierzem byłem. I nie było ci mnie bliżej zjadać, niżli rotmistrzowi, bo przede wszystkim ojczyźnie służymy, a potem rodzinie.

Po chwili, tuż obok pierwszej, wychyliła się kolejna głowa, przerywając klóćącym się.

– Obojeście w błędzie! Ciebie, panie Michale, w całości należało ojcu oddać, gdyż to jego zwierzchność była ważniejsza. Natomiast ojca powinno się do pana Samuela zanieść, gdyż pod jego rozkazy przeszedł po tym, jak jego rota została rozbita. A moje ciało natomiast mojemu bratu było bliżej jeść, gdyż i stopniem i pokrewieństwem nad Wrońskim górował. Widać więc, że rotmistrz Wroński wszystkich nas wbrew prawu spożył.

– Więc jakim prawem? – wykrzyknęła pierwsza głowa. – Jakim prawem mnie zjadłeś?

Wroński zerwał się ze snu. Na swoich plecach, przykrytych do tej pory czarną delią, poczuł podmuch październikowego wiatru. Drżąc z zimna sięgnął dłonią do swojego lewego oka. Znalazł tam tylko pustą, zabliźnioną dziurę. Teraz mógł być pewien, że nie śni.

Ostry ból w płucach zmusił go do kaszlu. Łapiąc oddech splunął krwią i otarł usta wierzchem dłoni.

Przyglądający się mu Lipek wyciągnął w jego stronę antałek z miodem. Jakub chwycił go i upił pospiesznie kilka łyków. Czuł, że słabnie. W oczach Tatara, patrzących smutno z pokrytej bliznami twarzy, dostrzegł, że i on to zauważa. Lekarstwo, którego szukał było jego jedynym ratunkiem. Upiory z jego snu miały rację. Wkrótce klątwa dopadnie i jego.

– Siodłaj konie, Kudej. – Wroński wstał i spał zapone swojej delii. – Musimy ruszać.

II

– Uważaj, bo zleci! – Hrach stapał ostrożnie po wąskich stopniach. Trzymane przez niego ciało wyslizgiwało się z rąk. Zwłoki ważyły więcej, niż im się wydawało. Stawiając z uwagą kolejne kroki zachodzili w głowę, jak taki chudy człowiek może być tak ciężki.

– Nie puszczaj go, nie puszczaj! – Hrach w ostatniej chwili złapał równowagę. Stojąc u szczytu schodów patrzył, jak wątłe truchło szlachcica toczy się po nich z loskotem. – By cię Żyd w kołnierzu nosił! – Spojrzał z wyrzutem na brata.

– Bym go nie puścił, to obaj byśmy spadli – bronił się Grinkor.
– Żeby ci łeb nie spadł! Kto by pomyślał, że nas jedna matka rodziła!
– Hrach ruszył w dół schodów. – Weź pochodnię. Teraz masz już ręce wolne.

Zeszli do piwnicy. Pomieszczenie było brudne, pełne skrzynek i beczek. W jednym kącie, wśród potłuczonych butli, leżała siekiera i kilka narzędzi. Ściany pokrywały ślady wilgoci.

– Dobrze, że w gospodzie nikt dziś nie śpi. Po takim rabaniu pewnie kolejnego gościa byśmy musieli katrupić. – Hrach podszedł do martwego szlachcica. Grinkor stanął za nim, oświetlając ciało.

Zwłoki były nagie. Spadając ze schodów ułożyły się w groteskowym, nienaturalnym kształcie. Wykręcona w tył głowa patrzyła tępo szklistymi oczami.

Bracia spojrzeli na siebie. Obaj byli rośli i nabici tłuszczem. Starszy o kilka lat Hrach był niższy od Grinkora prawie o głowę. Po ich pokrytych ciemną brodą gębach można było poznać, że dzierzawa niszczącej karczmy nie była ich głównym źródłem utrzymania.

– Dzisiaj nic już z nim nie zrobimy. Zaraz będzie świtać. – Hrach pochylił się wkładając ręce pod pachy zabitego. – Walniemy go pod te wory. Resztę spravimy nazajutrz.

Grinkor zawiesił pochodnię na ścianie i podszedł do zwłok. Gdy już miał je złapać odskoczył z przerażeniem.

– Poruszył się! – wykrzyczał.
– Głupiś! Łapaj go albo ja ci wszystkie kości poruszę!
– Mówię ci, że się poruszył! – Grinkor przylgnął plecami do ściany.
– Popatrz na niego! – Hrach wypuścił ciało. Upadło z głuchym tąpnięciem. – Jest martwy bardziej, niżli śmierć w Zaduszki.
– Przecież to czarnoksiężnik! Takiego to nie łatwo ukatrupić.
– Czarnoksiężnik, nie czarnoksiężnik. Jak dobrze przez łeb uderzyć, to i samego czarta byś ukatrupił. Łapaj go, mówię, bo i nas tutaj śmierć zastanie!

– Musimy mu wpierw ten łeb uciąć. – Grinkor ruszył w stronę siekiery.
– Od razu powinniśmy tak zrobić. Już tam, na górze, jak się go otruć nie dało.

– Nic nie będziemy ucinać! Już prawie świta. Złap go mówię... – Hrach urwał. Zdawało mu się, że dostrzegł coś na zakrwawionej twarzy szlachcica. Coś, czego z pewnością nie powinien na niej zobaczyć. Pochylając się nad ciałem słyszał bicie własnego serca. – A bodaj by tobą Żyd brodę czesał! – Hrach odskoczył przewracając się na plecy.

Martwy szlachcic mrugał oczami. Lewa powieka sklejoną wyschniętą krwią otwierała się tylko w połowie.

Zafascynowany tym widowiskiem Hrach przez chwilę przestał się bać. Dokładnie do momentu, w którym chłodna dłoń trupa zacisnęła się na jego nodze.

– Grinkor! – Hrach krzyknął w stronę brata. Ten chwycił zabrudzoną siekierę. Wyrzucona w powietrze broń upadła tuż obok szynkarza.

– Czarnoksiężnik, psia jego mać! – Hrach złapał pękate stylisko. – Na następny raz dwa razy się zastanowię, zanim któremuś z nich złoto zechcę odebrać!

Przybrudzone ostrze wbiło się z młaśnięciem w szlachecką głowę.

III

Wroński ostrożnie położył palec wisielca na środku wyrysowanego w ziemi kręgu. Klęcząc nad skomplikowanymi symbolami przykładał wagę do każdego ruchu.

Znajdowali się na rozstaju dróg. Chłopi z okolicznych wiosek nie postawili tutaj kapliczki ani krzyża, przez co w powolnych zawirowaniach powietrza można było wyczuć nieokreśloną obecność czegoś pozaludzkiego. Nawet najmniejszy błąd popełniony w tym miejscu mógł przynieść katastrofalne skutki.

Rozsypując starte liście suszonej jemioli Jakub wypowiedział magiczną formułę.

Kudeja nie zaskakiwały już dziwactwa jego pana. Przez lata służby zdołał do nich przywyknąć. Zresztą, sam musiał przyznać, że stracili trop zupełnie. Jeśli to miało pomóc im odnaleźć go znowu warto było spróbować. Wolał jednak pozostać w pewnej odległości. Cokolwiek miało się wydarzyć nie zamierzał brać w tym udziału.

Smagający ich do tej pory wiatr zmałał, po czym ustał zupełnie. Trzymane przez Tatara konie zaczęły niespokojnie bić kopytami po wilgotnym trakcie. Ściskając mocniej lejce, Kudej czuł, jak powoli udziela mu się bijący od wierzchowców niepokój. Cisza, jaka rozlegała się dookoła, wzbudziła w nim lęk. Patrząc na posępną, milczącą sylwetkę swojego pana, zastanawiał się, jak mógł trafić do takiej służby. Rzadko bał się o swoje życie. Ale jeśli to się zdarzało, to właśnie w takich momentach. Kudej wiedział, że jeśli kiedyś umrze służąc u Wrońskiego, to umrze ze strachu.

Znad lasu wzbił się podmuch wiatru tak silny, że Wroński musiał przytrzymać swój zdobny czaplim piórem kołpak. Zeschły trupi palec zaczął obracać się miarowo. Jego ruch przybierał na sile, a gęstniejące powietrze stawało się niemal widoczne.

Kudej zsunął niżej swoją baranią czapę. Mógłby przysiąc, że w fantazjnie płaczących się wstęgach wiatru dostrzegał ludzkie twarze.

Narastający szum świdrował ich uszy. Zmieniając wysokość i natężenie, niesiony podmuchami dźwięk stopniowo zaczynał przypominać ludzką mowę. W szalejącym wichrze jedno słowo stawało się coraz bardziej wyraźne.

Śmierć.

Wierzgające konie o mało nie wyrwały się Kudejowi z rąk. Próbując nad nimi zapanować Lipek walczył jednocześnie z własnym strachem.

Zanim wszystko ucichło uchwycili wśród rozszalałego wiatru wyraźne zdanie: pogoń przyniesie śmierć.

Kiedy Tatar myślał, że to już koniec, usłyszał, że jego pan z kimś rozmawia. Chociaż wzbierała w nim ciekawość nie odwrócił się w jego stronę.

– To znowu ty? – Głos Wrońskiego był spokojny. Nie było w nim oznak zaskoczenia.

– Tak, to on. – Mały stwór spojrzał na wciąż obracający się palec. – Chyba im nie wierzysz? – spytał.

– W co?

– W twoją śmierć.

– Nie, nie wierzę.

– To dobrze. – Pokraczny przybysz zaczął bładzić dłonią po wyrysowanych w ziemi symbolach. Wroński przyjrzał się mu. Do tej pory nie widział go w świetle dnia.

Jego wysokie na nieco ponad łokieć ciało pokrywała pomarszczona, szara skóra. Chude ręce, prawie tej samej co nogi długości, nadawały jego zgarbionej sylwetce groteskowy wygląd. Z łysej czaszki wyrastała para niewielkich rogów.

Stwór chwycił wirujący palec.

– Nie wskazałby ci drogi – powiedział. – Tylko Kołtun ją zna. – Jego głos był skrzekliwy. Gdy mówił wciąż pociągał nosem, jakby węsząc.

– Dlaczego miałbym ci uwierzyć?

– Bo nie masz wyboru. – Kołtun obwąchał trupi palec, po czym wbił zżółkłe zęby w mięso. Jego pozbawione warg usta zamykały się na nim z obślizgłym mlaskiem. – Nie pytaj zmarłych, gdzie iść. Zmarli boją się wiedzieć. Musisz pytać Kołtuna.

– Przecież służysz Balińskiemu...

– Kołtun nie służy nikomu! – Stwór wyprostował się wypinając zapadłą pierś. – Już nie! – dodał.

Wroński wiedział, że nie może mu ufać. Był pewien, że proponując mu pomoc stwór chce go oszukać. Jednak ciekawość brała nad nim górę. Nie mógł oprzeć się pokusie, by nie dowiedzieć się, czego to stworzenie chciało od niego.

– Kołtun pomoże Wrońskiemu, bo tylko Wroński może uwolnić Kołtuna – powiedziała istota, jakby czytając jego myśli.

– Uwolnić?

– Tak. Baliński stworzył Kołtuna i Kołtun musi mu służyć. Ale już dosyć!

– Więc dlaczego po prostu nie wrócisz do piekła?

Kołtun spojrzał na Wrońskiego jakby ten mówił w innym języku.

– Do piekła? – zapytał zdziwiony. – Kołtun nigdy nie był w piekle. Kołtun jest wychowawcą Balińskiego. Wroński wie, co to wychowaniec?

– Wiem. – Jakub przyjrzał się pokracznej istocie. – Więc to tak Baliński cię tutaj przywołał? – spytał po chwili.

– Tak. Pan Baliński na wiosnę dziewięć dni jajko pod lewą pachą nosił, żeby po dziewięciu dniach Kołtuna w nim znaleźć. Teraz Kołtun służy Balińskiemu. Musi. Musi aż do jego śmierci. Ale Baliński nie chce umrzeć!

Wrońskiemu nie udało ukryć się zaciekawienia, jakie zarysowało się na jego twarzy. Kołtun dostrzegł to z uśmiechem.

– Tak, tego jesteś szczególnie ciekaw. – Stwór zbliżył do niego swoją głowę. – Kołtun może pomóc Wrońskiemu, bo wie, dlaczego Wroński ściga Balińskiego.

Jakub nic nie powiedział. Wpatrywał się w oczy piekielnej istoty, usiłując dociec, na czym polega jej podstęp.

– Wroński chce lekarstwa, które Balińskiemu pozwala już sto lat z okładem przy życiu pozostać. Chce uleczyć nim swą duszę. Myśli, że jest przeklęta. – Kołtun zaśmiał się. – Dlaczego twoja dusza jest przeklęta? Bo czujesz głód, który tylko ludzkim mięsem możesz zaspokoić? Bo gdy ludzkiego mięsa nie jesz, twoje ciało słabnie i obumiera, a śmierć ci po piętach depta, aż w końcu, nie wiedzieć kiedy, złapie za kołnierz i zdejmie z tego świata? – Kołtun patrzył Wrońskiemu w oczy, rozkoszując się narastającym w szlachcicu gniewem. – Więc dlaczego ludzkiego mięsa nie jesz? To jest dla ciebie najlepsze lekarstwo!

– Nie tobie się tym turbować – wysyczał Wroński z trudem panując nad sobą. – Mów co wiesz, albo zejdz mi z oczu!

– Nie trzeba się niepokoić. – Kołtun zmienił ton. – Lekarstwo Balińskiego pomoże Wrońskiemu. Nie będzie już czuł głodu. Znow będzie miał silne ciało. – Stwór zgarbił się. Przebierając palcami kontynuował: – Kołtun pomoże Wrońskiemu. Wroński musi tylko zabić Balińskiego.

– Dlaczego sam tego nie zrobisz?

– Kołtun nie może! – Stwór oburzył się. – Wychowaniec musi czekać śmierci pana. Nie może samemu pana zabić. I Kołtun czeka. Ale to już ponad sto lat! – Kołtun spuścił z przygnębieniem głowę. Wyraz smutku, jaki zarysował się na jego twarzy był niepokojąco obcy. Kiedy uniósł na Wrońskiego swoje oczy wyglądał tak, jakby miał się rozpłakać.

– Wroński wie, co może robić wychowaniec, kiedy stanie się wolnym? Wroński nie odpowiedział.

– Może robić wszystko! – Kołtun znów wyprostował się w postawie pełnej dumy. – I Kołtun już wie, co będzie robił. Zostanie pokaśnikiem! Kołtun będzie pokaśnikiem i zamieszka w samotnej wierzbie. Ludzie będą mówić – w starej wierzbie Dytko mieszka! Nazwą go wierzbickim, a nie, jak pan Baliński, Kołtunem.

– Dlaczego Baliński cię tak nazywa?

– Bo kołtun, jeśli trzeba, może komu kołtuna zadać. A kiedy się wykluwał, to od razu Balińskiego spytał, czy by sobie tego dla kogo nie żyzył. A jak wychowaniec raz imię dostanie, to dopóki swemu panu służy nie może go zmienić, chyba, że pan zechce inaczej. Ale Kołtun już wie, jak się będzie nazywał, kiedy wolnym się stanie.

– Jak? – spytał Wroński przez grzeczność.

Kołtun, opierając pięści na biodrach, stanął na szeroko rozstawionych nogach i zadął do góry głowę.

– Mefistel! – powiedział.

Przez chwilę napawał się dźwiękiem tego imienia, po czym spojrzał na Wrońskiego.

– Ty jesteś szlachcic polski. Ty rozumiesz, co to wolność. Pomóż Kołtunowi być wolnym, a Kołtun się odwdzięczy – zaproponował.

Jakub milczał. Na jego twarzy nie było znać żadnych emocji. Czuł, że stojąca przy nim istota drży ze zniecierpliwienia.

– Więc gdzie jest Baliński? – zapytał po chwili.

Kołtun uśmiał się. Ze wzrokiem wciąż wbitym we Wrońskiego zacierał swoje przydługie dłonie.

IV

– Piach! – Hrach kopnął otwartą skrzynię. Po podłodze rozsypały się drobne, złote ziarna. – Niech mu pies mać chędoży, piach!

Wiedźma wybuchnęła śmiechem. Ślina na jej obnażonych, bezzębnych dziąsłach mieniła się w refleksach słonecznego światła. Wiercąc się na trzeszczącym stołku z zadowoleniem oglądała, jak zrozpaczony Hrach chodzi po pokoju łapiąc się za głowę.

– To po toś mnie tu wołał? – spytała z chichotem. – Żeby ci z czarodziejskich skrzyń piach wyciągać?

– To było złoto! – Hrach przewrócił ze złością stół. Leżące na blacie papiery zafurkotały w powietrzu. – Sam widziałem! Miał skrzynię pełną złota!

Stara znów się roześmiała. Oberżysta nie zwracając na nią uwagi rzucał się do wysypanego słomą posłania.

– Może to nie ta skrzynia? – Jął rozgrzebywać słomę i brudne koce. – Może trzeba jej poszukać?

Chodząc po izbie zaglądał w każdy zakamarek. Światło, rozbite przez mętne błony okien, sprawiało, że wytrzeszczał swoje oczy za każdym razem, kiedy musiał zajrzeć w ciemniejsze kąty. Po dwa razy sprawdził pod stołem, pod ławą, pod posłaniem, w rozpadającym się kufrze. W pokoju nie było niczego poza kilkoma, nieuporządkowanymi jeszcze, rzeczami szlachcica.

Stojący przy ścianie Grinkor robił wszystko, by nie zwracać na siebie uwagi brata.

– To właściwa skrzynia. – Wiedźma nie tłumiła śmiechu, kiedy zobaczyła wyraz twarzy szynkarza. – Lepiej sprawdź też swoje sakwy, w których trzymasz monety, jakimi ci płacił.

Hrach popatrzył na nią zdziwiony.

– Dlaczego? – zapytał.

– Nie słyszałeś nigdy o czarowskim złocie?

– O czym?

– O tym, że czarownicy mogą sprawić, by piach i także niektóre metale były przez głupców takich jak ty brane za złoto. Nie odróżnisz wtedy jednego od drugiego, chyba, że się sam na czarach znasz. A ty się nie znasz, Hrach, z pewnością się nie znasz.

– O, psie juchy! – Oberżysta kopnął przewrócony stół. – Ale dlaczego teraz znów się to w piach zmieniło?

– Czar trwa tylko, kiedy czarownik jest w pobliżu. Albo dopóki jest żywy.

– By go diabli w piekle szarpali! – zaklął Hrach. – Tyle mojego, żem go przynajmniej ubił.

– Tak, tyle twojego. A teraz powiedz, co dla mnie? – Czarownica wbiła swój wzrok w rosłego szynkarza. Na jej twarzy nie było już uśmiechu.

– Jak to, co dla ciebie? – Hrach był zdumiony. Widząc jej zimne oczy wzdrygnął się na całym ciele.

– Obiecaliście mi nagrodę, kiedy czar z zamka zdejmę. – Ton jej głosu zatrzymał im krew w żyłach. – I musicie wiedzieć, że baba tak leciwa jak ja, nie po to stare kości z domu rusza, żeby ją byle chłystki mogły na sianie rozłożyć i wydmuchać! – Wstając podeszła w stronę Hrachy. – Ja się nie dam wydmuchać! Zapłacicie mi, albo będziecie jutrzejszy dzień w kozłej skórze witać.

– Ale my nic nie mamy! – Hrach usiłował się bronić.

– Macie, tylko jesteście za głupi, żeby to spostrzec. – Stara schylając się z trudem poczęła zbierać rozsypane pergaminy. – Wezmę te papiery i wszystkie jego księgi – powiedziała, kiedy skończyła. – Wam to potrzebne jak psu szabla, a mnie się przyda.

Hrach odetchnął z ulgą. Spojrzał na brata z zadowoleniem.

– Nie macie się z czego cieszyć – przerwała im chwilę radości. – Macie tu większy kłopot, niż piach w miejsce złota.

Bracia spojrzeli na nią zdziwieni.

– Co tak oczy wybałuszacie, jakby wam kto w rzyć miechem dmuchał? Napytaliście wy sobie biedy, oj, napytaliście.

– O czym ty mówisz? – Grinkor był cały roztrzęsiony.

– O czarowniku, coście go tu usiekali.

– Nie żyje. Nikt o tym nie wie. Gdzie tu kłopoty? – zapytał Hrach spokojnie.

– Myślicie, że czarownika ubić, to tak przez łeb i skończone?

– I czarta można tak ubić.

– Jajca sobie tak ubij. – Stara poczęła się śmiać. – Taki gałgan jak ty może tylko ciało czarownika zabić, nie jego duszę. A dusza takiego zawsze się przy ciele kręci i je przywrócić do życia próbuje.

– Mówilem, że trzeba go pociąć! Pociąć i spalić – wykrzyczał Grinkor histerycznie.

– To nie wystarczy – przerwała mu stara. – Może i na jakiegoś gołowąsa, co się pierwszych czarów przyucza byłoby to dobre, ale nie na niego.

– Wiedźma obrzuciła obu braci spojrzeniem. – Wiecie, kogoście tutaj ubili? – spytała po chwili nieznośnego milczenia.

Karczmarze nie odpowiedzieli. Czując, że błędą starali się odgadnąć, w jak straszną kabałę przyszło im się wplątać tym razem.

– Poznaję te gryzmoły i te pieczęci – pokazała im trzymane w ręce papiery. – To pismo niesławnego Balińskiego, nadwornego lekarza samego króla Aleksandra.

Hrach spojrzał na nią z pobłażaniem.

– Naszego czcigodnego króla jako Zygmunta chrzcili – powiedział. – Może i na czarach się nie znamy, ale jako handlarze pewne rzeczy wiedzieć musimy.

– Tak, znasz ty króla Zygmunta, bo ich już nie mniej niż trzech rządziło. Ale Aleksandra nie znasz, a wiesz dlaczego?

Hrach popatrzył pytająco.

– Bo to już ponad sto lat będzie, jak skończył panowanie.

Starszy z braci odzyskał nieco pewności siebie.

– Więc ten, com go usiekał nie mógł być twoim Balińskim – stwierdził. – Tamten szlachcic nie mniej niż czterdzieści wiosen liczył.

– Mógł być i był – powiedziała stara z przekonaniem. – Baliński to czarnoksiężnik i szarlatan i przeróżne rzeczy potrafi robić. Raz się parał alchemią, raz leczeniem. Raz był Polakiem, a raz Grekiem. Ale ludzie mu-

sielei mu wierzyć. Inaczej nie kosztowałyby tak dużo jego usługi. A powiadają, że za leczenie nie mniej niż sto czerwonońców brał, aż go wszystkie krakowskie cyruliki Setnikiem z zazdrości przezwali. – Wiedźma zwilżyła językiem blade wargi. Chodząc po pokoju kontynuowała: – Jego sława do samego królewskiego dworu dotrzeć musiała, bo gdy król zaniemógł, posłano po Balińskiego. Ale Baliński inne plany miał co do króla. Miał go leczyć, krew mu tylko puszczał i kadzić nakazał, aż dobry władca zszedł z tego świata. – Obróciła głowę w stronę Hracha. – A wiesz, dlaczego po Balińskim nie znać było wieku?

Hrach pokręcił przecząco głową.

– Bo po to nakazał królowi krew puszczać, by potem móc z tej krwi eliksyr warzyć.

– Jaki eliksyr? – zapytał Grinkor zdziwiony.

– Z królewskiej krwi można napar sporządzić – tłumaczyła stara – który śmierć od zażywającego go odsunąć potrafi. Dziwnym losu zrządzeniem na samych króli on tylko nie działa.

– A skąd ty o tym wiesz? – spytał Hrach napastliwie.

– A coś ty myślał? – oburzyła się czarownica. – Że ja, stara, w lesie tylko siedzę i kozły doję? Że na Łysej Górze więdźmy jedyne co robią, to łojem się smarują i rzyć dla czarta trzymają wypiętą? – Wyprostowała się dumnie. – Bywają na sabatach osobistości, które na tą waszą psią budę nawet splunąć by nie miały ochoty. Możem i ja się nie kształciła w Krakowie, ale Łysa Góra to też uniwersytet i nie wiem czy nie lepszy. Spotkałam ja tam Balińskiego i wiem, że człek to uparty i pewnie się wam jeszcze we znaki da, nawet po śmierci.

– Więc co możemy zrobić? – spytał Hrach mniej pewnie.

– Duszy już mu nie zniszczycie. Musicie tylko sprawić, żeby nie mogła tu wrócić. – Stara sięgnęła za pazuchę wydymając małą buteleczkę. – Weźcie to, tylko pamiętajcie – ostrożnie się z tym trzeba obchodzić.

Bracia spojrzeli z lękiem na glinianą fiolkę.

– To sroga trucizna, specjalnie na czarowników przygotowana. Z czarnej sierści się ją robi i do węgrzyna leje. W węgrzynie nie sposób jej poznać, bo nadaje ona winu niespotykanej głębi smaku. – Podała buteleczkę

Hrachowi. – Dobrzem ja przeczuwała, co się tu u was święci, kiedyście do mnie przyszli. Dlatego zabrałam ją ze sobą.

– I tym będziemy mogli tego Balińskiego dobić?

– Głupis, Grinkor. Już na to za późno. Ale za Balińskim mogą inni tutaj przyjechać. Wtedy od razu im z węgrzynem to podać i będziecie mieli spokój. A czarownicy łasi na węgrzyna ogromnie.

– Ale co z Balińskim – spytał Grinkor z narastającą desperacją.

– Jego dusza się przy ciele kręci. Musicie więc z ciałem takie rzeczy uczynić, żeby do niego wrócić nie mogła.

– Więc spalić? – Hrach pytająco uniósł brew.

– Nie. To nie wystarczy.

– Więc co jeszcze można zrobić?

– Coś wymyślicie, Hrach, coś wymyślicie.

V

Wroński poczuł zapach pieczonego mięsa. Jego żołądkiem wstrząsnął skurcz. Nie był to jednak zwykły głód. Wroński znał już to uczucie. Znał je od czasów oblężenia Kremla.

Woń, jaka dobiegała do jego nozdrzy miała w sobie jakiś niezrozumiały powab. Coś, co sprawiało, że pragnienie z samego środka jego trzewi domagało się odnaleźć jej źródło.

Kudej spojrzał na swojego pana. Widział, jak ten blednie. Widział, jak z coraz większym trudem łapie oddech.

Wroński zacisnął zęby. Z jego brzucha rozchodziły się fale bólu, które czuł na całym ciele. Powstrzymując drżenie rąk, ruszył w kierunku widocznej na horyzoncie gospody.

To miejsce wskazał mu Kołtun.

Karczma była rozsypującą się rudera. Po zasypanej słomą podłodze laziły kury i gęsi. Omijając ławy i sypiące się stoły spoglądały dookoła,

jakby czegoś szukając. Przy rozpalonym na kominie ogniu siedział wyle-
niały pies. Liżąc się z zapamiętaniem między tylnymi łapami, wydawał
ciche jęki i mlaśnięcia.

W niewielkim alkierzu siedziało pięciu szlachciców. Ich zaczerwienione
gęby zwieszały się nad kuflami piwa. Trunek wyglądał tak, że ktoś obe-
znany ze sposobem funkcjonowania nerek, mógłby mieć opory przed jego
wypiciem, podejrzewając, że mógł być już przez nie przefiltrowany. Czy-
niąc nieprzeciętny rejwach kompania obrzucała wyzwiskami bogato
ubranego chłopą, który siedział w głównej izbie.

Stojący za szynkwasem oberżysta spojrział na wchodzących. Posępny,
jednooki szlachcic i towarzyszący mu Lipek, z twarzą pokrytą bliznami
byli ostatnimi osobami, jakich by sobie tu życzył. Kiedy przybysze zajęli
miejsca dwa stoły od chłopą, Hrach ucieszył się, że nie skierowali się do
alkierza. Karczemna awantura była najmniej potrzebną mu teraz rzeczą.

– Waszmościowie, ze mnie prosty chłop. Do wszystkiego ciężką pracą
doszedłem – próbował bronić się Pęcien.

– Ha! Uczciwą pracą! – Gruby szlachcic, grzebiąc palcem w zębie, spoj-
rzał na niego z pogardą. – Praca to twój obowiązek, chamiel! – Nie mogąc
znieść bogactwa jego stroju, odwrócił wzrok. Z przekleństwem zacisnął
rękę na glinianym kuflu i upił łyk, krzywiąc gębę. Nie wiedział, czy to na
smak piwa, czy przez chłopą. Ubrany w dobry kozuch Pęcien wywoływał
w nim napady złości. Kiedy patrzył na jego dumną postawę, miał ochotę
płazować jego szeroki grzbiet. Jednak najwięcej nerwów kosztowało go to,
że chłop miał na głowie szlachecki kołpak!

– Nie tobie stroić się i błyszczeć! – wykrzyczał w jego stronę. – Ora et
labora – to jedyne przykazanie dla ciebie.

Szlachcic znów sięgnął po kufel. Pozostali, dzielając jego oburzenie,
potakiwali mu skinieniem głowy.

Pęcien jadł pospiesznie, chcąc jak najszybciej stąd pójść. Starał się
odzywać jak najmniej, wiedząc, że każde jego słowo tylko pogorsza sytu-
ację.

– Nie z zazdrości cię tutaj pouczam – podjął na powrót gruby szlachcic.
– Zajac nie staje się niedźwiedziem, kiedy niedźwiedzie futro założy. Wciąż

jest zającem i wciąż ma zajęcze serce. Jedyne, co mu z tego przychodzi, to to, że się na śmieszność wystawia. Ale ty – wymierzył w niego grubym palcem – ty swoim postępowaniem przeciwko prawu boskiemu występujesz!

– Panie, jakże to? – Pęcien poderwał się z miejsca.

– Tak, chamie! – odpowiedział mu gruby ucieszony jego popłochem. – Nie po to cię Bóg chłopem stworzył, żebyś szlachcica udawał! Ale naszych oczu nie zmylisz! I my patrzeć na to spokojnie nie będziem! – Skinał na swoich towarzyszy. – Dawajcie go, do naga i do gnoju! Niech zna swoje miejsce!

Dwóch chudych swawolników wstało i ruszyło w jego stronę. Wyglądali jak obwiązane żyłami tyczki. Ich długie, tłuste wasy kleiły im się do policzków.

Pęcien padł przed nimi na podłogę i jął błagać o litość. Głusi na jego prośby oprawcy chwycili go pod boki i zaczęli podnosić. Chłop wyrwał się im i w akcie desperacji skoczył do stóp Wrońskiego.

– Panie, łaskawco, wyratuj mnie, bezbronnego! – Skamląc o pomoc, całował jego pokryte błotem, kurdybanowe buty.

Jakub nie zwracał na niego uwagi. Zajadał się przyniesionym przez karczmarza mięsem, głuchy na wszystko, co się działo dookoła. Siedzący obok niego Kudej dostrzegł w jego oczach błysk, który zmroził mu serce. Spoglądając na swój talerz z kaszą i na danie swego pana zastanawiał się, co może być takiego wyjątkowego w tej pieczeni, że jego pan oddaje się jej z taką pasją.

Swawolnicy chwycili Pęciena pod pachy i odciągnęli w inną część sali. Spoglądając na Wrońskiego, na jego zasępioną, jednooką twarz, na jego husarską szablę w czarnej, pozbawionej zdobień pochwie nie chcieli, by chłop niepokoił go ponownie.

Pęcien, pchnięty w stronę komina, robił wszystko, by nie wpaść do ognia. Kiedy upadł na podłogę, rozsypując podane psu kości, zwierze nawet na niego nie spojrzało. Z głową wciąż pomiędzy tylnymi łapami oddawało się własnym sprawom.

Kiedy kości znalazły się w obrębie wzroku Wrońskiego, ten zdażył wziąć jeszcze spory kęs zanim kielkująca na ten widok myśl zdażyła ostаточно wykwitnąć w jego głowie. Przegryzł jeszcze i przełknął, zanim zdał sobie sprawę z tego, co widzi.

Nagle przypomniał sobie skąd zna smak mięsa, które spożywa.

Leżące na podłodze kości były ludzkie.

Hrach przyglądający się awanturze poczuł nagle szarpnięcie. Nim zdażył przeliczyć, na jakie straty może się zaraz narazić, ktoś wcisnął jego głowę w deski szynkwasu.

– To mięso, które mi podałeś – usłyszał ciężkie słowa Wrońskiego – było ludzkie, prawda?

Hrach chciał zaprzeczyć, powiedzieć coś w swojej obronie, jednak ścisające jego głowę dłonie uniemożliwiały mu to. Poczuł, jak z rozdartych o zęby warg zaczyna ściekać stróżka krwi.

– Wczoraj gościłeś szlachcica. – Jakub pochylił się nad nim. Cedził teraz swoje słowa prosto do ucha szynkarza. – Był ranny. Wyglądał na uciekiniera. Może pomyślałeś, że to infamis? A może po prostu postanowiłeś się trochę wzbogacić. Dość, że go zabiłeś. A karczma to świetne miejsce, by pozbyć się zwłok, prawda?

Oberżysta spróbował wykręcić głowę spod uścisku Wrońskiego. Bez skutku.

– Zadam ci jedno pytanie i jeśli mi satysfakcjonująco odpowiesz, daruję ci życie.

Hrach popatrzył na niego z nadzieją.

– Gdzie jest moderunek szlachcica? – Wroński poluźnił trochę swój uścisk. Szynkarz poruszył głową i oblizał usta.

– Niczego nie było – powiedział przelżykając zmieszaną z krwią ślinę. – Tylko piach!

– Co?

– Chama skarcić, słuszna rzecz. – Wroński usłyszał za swoimi plecami słowa jednego ze swawolników. – Jednak wpierw do jego pana ze skargą się zwrócić powinno.

Jakub odwrócił się. Jeden z chudych szlachciców stał tuż za nim. Trzymając dłoń na rękojeści szabli, obrzucał go wrogim spojrzeniem. Jego towarzysze wstali najwyraźniej szykując się do walki.

– Imć Atanazy ma rację. – Gruby szlachcic wyszedł z alkierza. – A tak się składa, że jestem tutaj karbowym i to pod moją zwierzchnością są wszystkie chamy z tej wioski. – Biorąc się pod boki zmierzył Wrońskiego wzrokiem. – I nie myśl – podjął po chwili – że się tutaj twojej czarnej szabli i tego odmieńca lękać będziemy. Zważ, że ja taką samą u mego boku noszę.

Wroński nie popatrzył w jego stronę. Czuł, jak dziwny żar rozplywa się po jego żyłach. Wzbierała w nim energia tak duża, że możliwość stoczenia pojedynku napawała go radością. Starał się przewidzieć ile czasu zajmie im zdobycie broni i doskoczenie do niego.

Zauważył kątem oka jakiś ruch przy drzwiach prowadzących do stanu. Wydawało mu się, że do izby zajrzał ktoś niebywale podobny do oberżysty. Nim zdążył się nad tym zastanowić, do rozmowy włączył się stojący nad obitym chłopem tyczkowaty szlachcic.

– Gdybyś znał, waść, pana Macieja, naszego karbowego – powiedział chudy – inaczej byś z nami rozmawiał. Ale widzę, żeś nigdy o nim nie słyszał.

Jakub milczał. Nie zważając na jego obojętny wyraz twarzy swawolnik kontynuował:

– Ale może to przez to, że panów Maciejów zbyt wielu w Rzeczpospolitej. Jednak nasz karbowy pod innym imieniem jest lepiej znany i o tym, waść, musiałeś usłyszeć. – Tyczkowaty szlachcic postąpił krok na przód. – Znasz pewnie historię, jak pana starostę Opleckiego referendarskim cięciem wszelkich marzeń o potomstwie pozbawiono? Wiedz, że to imć Maciej to cięcie wyprowadził, na czego pamiątkę wszyscy od tego czasu Referendarzem go przezywają.

Chudy szlachcic chciał się uśmiechnąć. Chciał dodać mocy swojej groźbie. Jednak grymas, jaki pojawił się na jego twarzy wyglądał tak, jakby pozując do portretu przypominał sobie, że nie założył spodni.

Swawolnicy wiedzieli, że Wroński wykonał ruch, ale zupełnie nie mogli odgadnąć kiedy.

Stojący najbliżej Atanazy również nic nie dostrzegł. Jednak do tego, żeby się nad tym zastanowić nie miał w tej chwili głowy.

Dosłownie.

Podgolony łeb chudego szlachcica potoczył się po podłodze. Ciało stało jeszcze przez chwilę, po czym runęło z łoskotem.

Wroński przypatrywał się zebranym z szablą w dłoni.

– Waść mówił coś o cięciach – zwrócił się do stojącego przy chłopie awanturnika.

Karbowy dobył broni. Reszta swawolników stanęła w gotowości.

– Bigosować psubrata! – rozkazał ruszając w stronę Jakuba.

Kudej wyciągnął szablę i zamierzył się na tyczkowatego szlachcica. Jednak zanim zdążył wyprowadzić cios Wroński przeszył chudzielca uderzeniem w pierś, rozcinając cały jego bok.

Lipek odsunął się. Widząc szal, w jaki wpadł jego pan, obawiał się, że sam mógłby być uderzony. Błysk rozświetlający oczy Wrońskiego przeszywał go lękiem. Wiedział, że w przeciągu ostatnich chwil coś stało się z Jakubem, ale nie mógł odgadnąć co.

Dwóch stojących przy stole szlachciców chwyciło rozpadający się mebel i wyszło z nim z alkierza.

Wroński kopnął w ich kierunku drewnianą ławę, jakby była zaledwie wydrążonym pruchnem. Pod jej naporem stół pękł na dwie części. Atakujący, nie tracąc równowagi, dalej szli w jego kierunku. Uderzając płazem zdezorientowanego oberżystę, Jakub przygotował się na przyjęcie ataku karbowego.

Kudej zauważył, że do padającego bez przytomności szynkarza podbiega ktoś bliźniaczo do niego podobny. Widząc, że postać trzyma w rękach starą siekierę, ruszył w jej stronę. Nie wiedząc, którego z walczących zechce zaatakować, na wszelki wypadek wymierzył jej uderzenie rękojeścią szabli, skutecznie obezwładniając.

W tym czasie Maciej szerokim wymachem bił w zastawę Wrońskiego. Ten bez większego wysiłku wytrzymał cios i dał szybką odpowiedź, kierując pióro w lic karbowego.

Gruby szlachcic był szybki. Osłonił się przed ciosem jednak impetu uderzenia zachwiał nim. Gdyby nie nadbiegli jego towarzysze, z pewnością straciłby w tej chwili życie.

Wroński kucając uchylił się przed częściami stołowego blatu. Te zwały się z trzaskiem tuż nad jego głową. Wpadając na siebie w pełnym biegu atakujący Jakuba szlachcice zatoczyli się, tracąc równowagę. Gdy jednemu z nich udało się ją odzyskać, padł uderzony głową Atanazego.

Kudej szybkim kopnięciem wybił mu z ręki dopiero co dobytą szablę. Szykując się do zadania ciosu, poczuł uderzenie z lewej strony. Drugi ze szlachciców uderzył go w trok, szczęśliwie trafiając płazem. Lipek zaciskając zęby próbował zwiększyć dzielący ich dystans. Nieprzerwanie słyszał szczęk broni dobiegający z głębi sali.

Stojący nieopodal karbowy, zwany Referendarzem, wymierzał cios za ciosem, sapiąc głośno. Z techniki, jakiej używał, można było poznać, że kiedyś był wybornym fechtmistrem. Jednak najlepsze czasy miał już za sobą. Wroński unikał jego cięć, bądź brał je na zastawę, nawet się nie pocąc. Walka bawiła go ogromnie. Czuł, jak jego mięśnie nabierają dawnej sprawności i chciał używać ich jak najwięcej. Wiedział skąd wzięła się ta moc, ale wypierał tę myśl, w głębi duszy pragnąc, by nie okazało się to prawdą.

Kiedy składał się do lekkiej kontry, wyprowadzanej z nadgarstka, uczył, że ktoś chwyta go od tyłu. Powalony przed chwilą kopniętą głową szlachcic uwiesił się na jego szyi.

Karbowy, przekonany o własnym zwycięstwie, wyprowadził silne cięcie nżykiem. Jednak zanim cios doszedł celu, szlachcic padł, powalony ciężarem swojego towarzysza.

Wroński chwycił atakującego go z tyłu swawolnika i cisnął nim przed siebie, z zadziwiającą łatwością. Gdy obaj przeciwnicy leżeli na ziemi, sta-

nał nad nimi na szeroko rozstawionych nogach. Z jego ust ściekała stróżka krwi. W ustach wciąż miał kawałek mięsa odgryziony z zaciskającej jeszcze przed chwilą jego szyję ręki.

Kudej i walczący z nim szlachcic zamarli w bezruchu. Jakby zapominając o wszystkim, wpatrywali się we Wrońskiego z narastającym lękiem.

Ugryziony warchoł krzyknął, kiedy Jakub ruszył w jego stronę.

Nie krzyczał z bólu.

Jego krzyk był krzykiem strachu.

VI

Ćmina nie potrafił powiedzieć, co skłoniło go, by pójść do karczmy o tak wczesnej porze. Nie wiedział też, dlaczego nie wybrał oberży we wsi. Jednak teraz, kiedy nie mogąc złapać równowagi ślizgał się na umazanych krwią deskach podłogi, gotowy był zrzucić to wszystko na karb jakiś diabelskich podszeptów.

Łapiąc się pokrytego rdzawymi skrzepami blatu, z trudem powstrzymywał wymioty.

W całej sali bezskutecznie można było szukać choćby skrawka nieumazanej posoką ściany. Krew, zasychając powoli, jaśniała, nabierając pomarańczowych odcieni.

Pod nogami Ćminy chrzęściły deptane kości. W izbie leżało kilka obgryzionych do naga szkieletów w porozrywanych żupanach. Chłop z przerażeniem spostrzegł, że widoczne na nich ślady zębów są ludzkie. Za kon-
tuarem znalazł szczątki dwóch oberżystów.

Był pewien, że nawet Kozacy nie mogli dokonać takiej sieczki. Z pewnością musiała być to robota upirów. Rozglądając się wokoło, dostrzegł ciało, które przeraziło go bardziej, niż wszystko, co do tej pory zobaczył.

Pod ścianą leżały zwłoki Lipka. Nie było na nich żadnych okaleczeń. Nie był nawet ranny. Jednak jego pokryta dawnymi bliznami twarz zastygła w grymasie, na którego widok zatrzymało się chłopskie serce Ćminy.

Tatar wyglądał tak, jakby umarł ze strachu.

Ćmina przeżegnał się. Z przerażeniem przypomniał sobie jeźdźca, którego minął na trakcie. Wspomnienie jego jednookiej twarzy wstrząsnęło całym jego ciałem. Chłop był pewien, że to ten posępny szlachcic był sprawcą tego, co tutaj zobaczył.

Ćmina jał dziękować Bogu, że nie trafił w to miejsce wcześniej. Kiedy skończył modlitwy ponownie uczynił znak krzyża i rzucił się na podłogę, by przejrzeć zawartość szlacheckich trzosów.

Baliński jechał stępą na koniu Wrońskiego. Daleko za nim majaczyły znikające kontury rozpadającej się karczmy. Chroniąc się przed wiatrem w sobolach delii, oglądał swoje dłonie, jakby widział je po raz pierwszy.

– I jak ci się podoba moje nowe ciało, Kołtun? – zapytał z zadowoleniem.

– Wspaniale. – Kołtun siedząc za pazuchą Balińskiego przyglądał się jego pozbawionej lewego oka twarzy. Zastanawiał się przy tym, gdzie jest Wroński. Nie wiedział, czy jego dusza wciąż została w tym ciele, czy może, mocą Balińskiego, została z niego wypchnięta. Czy mogłaby do niego wrócić? I jeśli tak, to w jaki sposób?

– To nawet zabawne – podjął po chwili Baliński przerywając rozmyślenia Kołtuna. – Ten, przez którego musiałem się ukrywać, przez którego musiałem przemieszkować w najpodlejszych gospodach, przez którego o mało nie straciłem w jednej z nich życia, ostatecznie okazał się moim wybawieniem.

Dla Kołtuna było fascynujące to, że przez twarz tego pochmurnego szlachcica przemawiał teraz jego pan. Wpatrywał się w nią olśniony, nie zwracając uwagi na sens słów, jakie wypowiadała.

– Cóż za wspaniała ironia losu! – Baliński rozkoszował się zmienionym brzmieniem własnego głosu. – Kiedy ten człowiek ruszył naszym tropem myślałem, że przyjdzie mi się z nim niemało natrudzić, że uprzykrzy nam

życie. Jednak ten szlachcic spadł mi jak z nieba. Gdyby nie on, wiele musiałbym się natrudzić, by na powrót połączyć moje przetrawione szczątki.

Kołtun patrzył, jak obca twarz jego pana milknie zamyślona. Przez chwilę miał ochotę jej dotknąć by przekonać się, czy jest prawdziwa.

– Wroński był głupcem – podjął po chwili Baliński. – Stracił lata, żeby mnie odnaleźć. Chciał leczyć się królewską krwią. A wystarczyło tylko jeść ludzkie mięso. – Szlachcic zaśmiał się. – Minęło prawie półtorej wieku odkąd zagarnąłem trochę aleksandrowej krwi. Jak mógł myśleć, że mogło jej starczyć aż do teraz?

Kołtun przyzwyczaił się do monologów swojego pana. Podczas ich trwania nie zabierał głosu. Wiedział, że Baliński nie wypowiada ich dla niego. Dumny szlachcic musiał słyszeć swoje słowa, by czuć w pełni płynącą z własnych przemyśleń satysfakcję.

– Dokonałem wielkiego odkrycia, Kołtun. – Baliński spojrzał na niego z góry. – Nauczyłem się nowego sposobu, by przedłużyć swoje życie.

– To wspaniale, panie. – Słuchacz tak wprawiony jak Kołtun doskonale orientował się, w których chwilach powinien wyrazić uznanie.

– Jesteś go ciekaw?

Stwór spojrzał na Balińskiego pytająco. Szlachcic przybierając mędrczy wyraz twarzy rozpoczął tyradę:

– Znany jest fakt, że jedząc czyjeś ciało możemy przejąć moc tego, do kogo ono należało. Jednak ja posunąłem się krok dalej! – Baliński zadarł dumnie głowę. – Pozwalając się zjeść, zapanowałem nad zjadającym! Oczywiście muszą zajść określone okoliczności... – Jego głos stał się mniej zdecydowany. – Potrzeba lepiej opracować pewne zaklęcia. I prawdopodobnie gdyby nie klątwa tego lisowczyka nic by z tego nie wyszło. Jednak mam już podstawy do badań i zamierzam ich wynik opublikować!

– To wspaniale, panie.

– Oczywiście, że wspaniale! Już nawet znam tytuł swojego dzieła – *Corpus Nobile, albo jak szlacheckie ciało posiąść*.

– Bardzo dobry – pochwalił go Kołtun – ale czy nie sądzisz, panie, że może on sugerować inne treści?

– I świetnie! – Baliński począł się śmiać. – W kręgach hermetycznych takie rzeczy cieszą się wielkim zainteresowaniem!

Ze wzrokiem wbitym w horyzont szlachcic zatopił się w marzeniach. Kiedy wjechali między drzewa spojrzął na Kołtuna.

– A powiedz mi jedną rzecz – zaczął pytać swojego chowańca. – Czy kiedyś mamiał Wrońskiego mówiąc mu, że już dłużej u mnie służby znieść nie możesz, to czy nie było w tym trochę prawdy?

– Panie, skądże! – obruszył się Kołtun. – Kołtun jest wierny i swojego pana nie odstąpi, póki po tego śmierć nie przyjdzie.

– To dobrze, Kołtun – odrzekł Baliński. – Ale musisz wiedzieć, że ja zamierzam żyć długo.

– Kołtun wie i cieszy go to niezmiernie.

– W takim razie skończmy już tę rozmowę. Gardło mam na wiór wyschnięte. Popasamy teraz.

Chowaniec zaczął się wiercić. Po chwili powiedział:

– Kołtun ma na taką okoliczność niespodziankę. – Stwór wyjął z jedynie sobie wiadomego miejsca sporą butlę. – To z karczmy. Najlepszy węgrzyn, jaki tam mieli. Podobno jego smak posiada niespotykaną głębię.

– Świetnie, Kołtun. – Baliński wziął od niego antałek. – Wiesz jak uwielbiam węgrzyna.

Kołtun nie patrzył na niego. Z rozmarzeniem spoglądał na samotną wieżbę, której kontur rysował się na horyzoncie.

– Kołtun wie – powiedział nie odwracając wzroku od drzewa. – Kołtun wie – powtórzył.